

Forum Akademickie 2/2002 , s. 31-34

Polska Liga Bluszcawo

Chciałbym dożyć czasów, kiedy jedynym rozróżnieniem pomiędzy uczelniami będzie ich pozycja rankingowa, przekładana na jakość oferty dydaktycznej, pozycję naukową kadry i umiejętność zwielokrotnienia „wartości dodanej” wykształcenia.

Krzysztof Pawłowski

Fot. Stefan Ciechan

Ponad pół roku temu w „Rzeczpospolitej” (5.07.2001) ukazał się ważny tekst Grzegorza Filipa, redaktora „Forum Akademickiego”, Uniwersytet w potrzasku. To nie jedyny tekst tego Autora w obronie tradycyjnej misji uniwersytetu, trzeba go zatem zapewne czytać łącznie z takimi tekstami, jak np. Autonomia pod presją z numeru 6/2001 „FA”.

Odpowiedziałem polemicznie na tekst w „Rzeczpospolitej” artykułem Rynek jest szansą, pan Grzegorz Filip odpowiedział polemiką w „Rzeczpospolitej” Społeczeństwo mądrości.

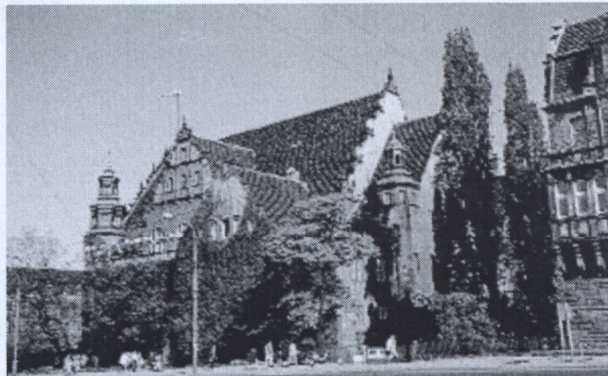
W tej polemice uderzyły mnie (i nie ukrywam, że wzburzyły) dwa sformułowania, które uważam nie tylko za nieprawdziwe, ale i groźne dla przyszłości. Uznałem jednak, że dalsza polemika w „Rzeczpospolitej” nie ma sensu i że warto ją przenieść do wyspecjalizowanego czasopisma, jakim jest „Forum Akademickie”. Aby nie zostać po raz kolejny posądzony o nietrafny opis poglądów redaktora Grzegorza Filipa, posłużę się jego streszczeniem z polemiki.

Krytykuje on żywiołową komercjalizację szkolnictwa wyższego, idee egalitaryzacji uniwersytetu i próby modyfikacji autonomii uniwersyteckiej. Pokazuje jako błędne kreowanie stereotypu studenta, który wybiera kierunek i model studiów, powodując się rachunkiem zysków i strat, a studia traktuje jako inwestycję. Krytykuje też wizję uniwersytetu poddanego dyktatowi rynku i uważa ją za niebezpieczną.

W polemice z tekstem pana Grzegorza Filipa nieco mnie poniosło i określiłem jego tezy jako „manifest socjalistyczno-konserwatywnego naukowca”. Chcąc dyskutować spokojnie, wycofuję określenie „socjalistyczny”, które może być uznane za obraźliwe (a na pewno nie dotyczy samego Grzegorza Filipa), ale trwam przy pozostałej części moich poglądów, które redakcja „Rzeczpospolitej” trafnie streściła w tytule Rynek jest szansą i dodam, że nie uważam, iż rynek musi być zagrożeniem.

MISJA I MAMONA

W polemice Grzegorza Filipa uderzyło mnie przyjęte a priori rozróżnienie uniwersytetów i uczelni niepaństwowych, i stwierdzenie, że szkoły niepaństwowe nie są (a w domniemaniu także nie będą!) placówkami o długofalowej misji kształcenia elit, instytucjami kultury wysokiej, spełniającymi fundamentalne zadania duchowe i cywilizacyjne. Nie ma zgody na to stwierdzenie. Nawet jeśli obecnie jest to prawda (najstarsze z naszych uczelni mają zaledwie



Rektorat UAM w Poznaniu

10 lat), kto powiedział, że tak będzie w przyszłości? A może warto by przypomnieć, jak po 10 latach istnienia wyglądały Uniwersytet Warszawski czy Harvard University, mimo tego, że miały znacznie bogatszych fundatorów niż nasze szkoły? Wiem, że przynajmniej kilka obecnych szkół niepaństwowych stawia sobie za cel kształcenie elit i stopniowe przekształcanie w stronę elitarnych uczelni uniwersyteckich i nie widzę żadnego racjonalnego powodu, aby nie uznać za prawdopodobne, że po następnych 25 czy 50 latach rankingi uniwersytetów będą wyglądały całkiem inaczej niż dzisiaj.

Najniebezpieczniejsza jest próba zamknięcia nas (tzn. uczelni niepaństwowych) w swoistym getcie oraz ostrego rozróżniania misji i jakości uniwersytetów oraz uczelni zawodowych. Te pierwsze są instytucjami kultury wysokiej i mają kształcić – cytuję za Grzegorzem Filipem – „niezbyt liczną społeczność mądrości”, a te pozostałe mają kształcić – znów cytuję – „barbarzyńskich profesjonalistów”.

W Polsce od kilku lat dyskutuje się o przyszłym kształcie szkolnictwa wyższego. Dyskusję tę wymusza nie tylko nieustannie podnoszona sprawa nowelizacji ustawy o szkolnictwie wyższym, ale i presja otoczenia (tego dalszego – międzynarodowego, ale i bliższego – krajowego). Dyskusja jest jednak dość mialka i słaba, chwała więc panu Grzegorzowi Filipowi za odważne i precyzyjne sformułowania, które można jednak uznać za swoisty manifest opcji, która obawia się zmian.

Za bardzo groźny i niebezpieczny uważam jej – dość rozpowszechniony – pogląd, że uczelnie państwowe, a szczególnie uniwersytety służą państwu, narodowi, kulturze, nauce, a szkoły niepaństwowe służą tylko zarabianiu pieniędzy. Jak to w życiu, w obu przypadkach można by łatwo pokazać wyraźne odstępstwa od stereotypu, ale wolałbym pisać dzisiaj o ideach, a nie przerzucać się oskarżeniami. Więc tylko jeden argument zaprzeczający tezie, że szkoły niepaństwowe służą tylko „nabijaniu prywatnej kasy” – to obserwowany przeze mnie ostatnio rozmach inwestycyjny w szkołach warszawskich, ale także w Łodzi, Częstochowie czy rodzinnym Nowym Sączu. A proszę pamiętać, że wszystkie te inwestycje powstają bez choćby złotówki z budżetu MEN. Czy nie świadczą one o dużych, może nawet uniwersyteckich aspiracjach założycieli i władz tych uczelni?

Za niebezpieczne uważam też wyraźne przeciwstawianie wykształcenia uniwersyteckiego kształceniu zawodowemu. Po pierwsze, to rozróżnienie jest nieostre – bo np.: czy realizacja programu studiów magisterskich na kierunku zarządzanie i marketing, gdzie jest kilkaset godzin studiów ogólnych (takie przedmioty, jak: filozofia, socjologia, psychologia, historia sztuki czy elementy literatury anglojęzycznej) służy wykształceniu „barbarzyńskiego profesjonalisty”, czy dla odmiany uniwersytecki program studiów zaocznych na kierunku prawo służy na pewno wykształceniu człowieka elit ze „społeczeństwa mądrości”? Sytuacja w polskim szkolnictwie wyższym jest znacznie bardziej skomplikowana. Są w naszym kraju uczelnie zawodowe (techniczne i ekonomiczne, państwowe i niepaństwowe), które idąc naprzeciw oczekiwaniom przyszłości (a nie tylko dzisiejszego rynku pracy) starają się kształcić studentów dając im szeroką, uniwersalną wiedzę, kształcąc w nich potrzebne umiejętności, ale próbują też formować postawy niezbędne do życia w okresie burzliwych przemian. Z drugiej strony, każdy pracujący w szkolnictwie wyższym może pokazać złe przykłady niezwykle wyspecjalizowanych programów (także uniwersyteckich) bądź przykłady szkół niepaństwowych, gdzie jedynym celem jest nachalne wyciąganie pieniędzy od studentów.

REWOLUCJA KULTUROWA

Zasadniczą tezę mojego artykułu jest stwierdzenie, że mamy jedno szkolnictwo wyższe i wszelkie działania prawne (przygotowanie nowych ustaw) czy też dyskusje powinny służyć określeniu warunków, które spowodują dostosowanie szkół wyższych do nadchodzących czasów, z niezbędnym przeniesieniem tych wszystkich idei, wartości z przeszłości, będących powodem, dla którego idea uniwersytetu przetrwała wieki. Gdy patrzymy na ostatnie blisko 1000 lat, tylko dwie instytucje (nie licząc rodziny) okazały się niezniszczalne – kościoły i uczelnie. Szczególnie dotyczy to części edukacji najbardziej elitarnej w ciągu stuleci, tzn. uniwersytetów. Czy powolność zmian (na którą wielu z nas często narzeka) jest zatem słabością czy też siłą uniwersytetów? I czy nadal uniwersytety będą podobne do tych, które istniały kilkadziesiąt czy też 200 lat temu? Czy ich misja pozostanie bez zmian?

Przecież świat i Polska bardzo się zmieniły, spójrzmy choćby na zmiany, które dokonały się na świecie tylko w jednym XX stuleciu. W rozwiniętej części świata (umownie mówmy o 25 państwach OECD) wzrosła ogromnie liczba osób podejmujących studia wyższe i odsetek osób legitymujących się wyższym wykształceniem. Można wręcz powiedzieć, że w ciągu 100 lat średni poziom wykształcenia społeczeństw rozwiniętych podniósł się o jeden stopień; np. w 1922 roku w Polsce liczba uczniów licealnych (220 tys.) była 8 razy mniejsza niż obecnie liczba studentów (1700 tys.).

Obecnie rolę klasy dominującej zaczynają odgrywać „robotnicy umysłowi” (profesjonaliści mający ukończone studia wyższe), a na margines zaczyna schodzić klasa robotników fizycznych, podobnie, jak wcześniej stało się to z rolnikami. Wzrasta znaczenie wiedzy jako najistotniejszego kapitału (dla pojedynczego człowieka, dla korporacji i państwa). Wzrosła liczba i liczebność uniwersytetów, które stają się często ogromnymi instytucjami (największe z nich kształcą 100-200 tys. studentów) i są bardzo zróżnicowane: od nastawionych na kształcenie elit do tych, które taśmowo „produkują” absolwentów. Po raz pierwszy rozpowszechniają się uniwersytety for profit i uniwersytety korporacyjne jasno wskazujące, że ich wyłącznym celem jest kształcenie, a nie np. uprawianie nauki. Globalizacja produkcji i rozwój ponadnarodowych korporacji doprowadziły do wyprowadzenia poza uniwersytety dużej części badań naukowych, szczególnie stosowanych (coraz bardziej liczy się skuteczność i szybkość patentowania wyników badań i szybkość ich wdrożenia do zastosowań gospodarczych).

W Polsce tylko w ciągu ostatnich 12 lat doszło do upowszechnienia szkolnictwa wyższego (wzrosła liczba studentów z 400 tys. do 1600 tys., a wskaźnik skolaryzacji z ok. 12 do 42 proc. i to w okresie, kiedy na uczelnie weszły najliczniejsze roczniki wyżu demograficznego), nieoczekiwanej eksplozji uczelni niepaństwowych. Wykształcenie i wiedza stały się w Polsce poszukiwanym towarem i to w skali masowej, także w rodzinach, w których dotychczas nikt nie ukończył studiów, a często nawet szkoły średniej. Można tu wręcz mówić o dokonującej się rewolucji kulturowej i to w społeczeństwie, w którym jeszcze niedawno panował kult robotnika fizycznego.

Z drugiej strony, w Polsce wciąż mamy do czynienia ze: zatowarowaną strukturą szkolnictwa wyższego, zupełnie nie odpowiadającą wyzwaniom przyszłości; brakiem kultury swobodnych dyskusji naukowych i dominującym feudalizmem profesorskim w większości uczelni (ewidentnie utrudniającym i opóźniającym rozwój młodych pracowników naukowych); nieobecnością uniwersytetów i intelektualistów w życiu publicznym (brak dyskusji w środowisku naukowym o nowej konstytucji); dominowaniem pracowniczej strategii przetrwania w większości uczelni państwowych; bardzo niską jakością studiów w wielu uczelniach (zarówno państwowych, jak i niepaństwowych).

OCHRONA LOKALNYCH INTERESÓW

Warto wreszcie kilka zdań poświęcić strukturze szkolnictwa wyższego w Polsce. Wiele nieporozumień dotyczących zróżnicowania wykształcenia uniwersyteckiego i zawodowego powstaje dzięki pozostawieniu (niemal bez zmian) zatimizowanej w czasach socjalistycznych struktury szkolnictwa państwowego. Osobno uczelnie techniczne, osobno ekonomiczne, osobno rolnicze działające w tym samym dużym mieście i to w czasach, gdy wszystkie dziedziny życia społecznego i gospodarki przenikają się wzajemnie. Czy wreszcie (co uważam za horrendalne nieporozumienie i to groźne dla przyszłości społeczeństwa w Polsce) wydzielenie uczelni pedagogicznych ze struktur uniwersyteckich. Nie ma żadnych racjonalnych powodów, aby w jednym mieście istniały dwie państwowe uczelnie techniczne, gdyż z punktu interesów państwa jest to rozwiązanie złe (przy połączeniu zapewne doszłoby do synergii zasobów ludzkich i materialnych, a także do usunięcia z obu uczelni ich najsłabszych komórek organizacyjnych) i drogie (można się założyć o grube pieniądze, że połączenie w ciągu kilku lat uwolniłoby spore środki finansowe, które można by alokować w realizację strategii rozwoju nowej połączonej uczelni). Systemowe kształcenie nauczycieli w wyspecjalizowanych uczelniach pedagogicznych jest, moim zdaniem, gorzej niż błędem, bo utrudnia pozytywne jakościowo zmiany w kształceniu na poziomie podstawowym i średnim. Te anomalie (ośmielam się je tak nazwać) wynikają ze zbyt rozszerzonej interpretacji autonomii akademickiej, o której utrzymanie w obecnym kształcie walczą tradycjoniści, a która, zamiast być obroną wolności badań, staje się ochroną lokalnych grup i interesów działających w poszczególnych uczelniach.

Ogromnym błędem mentalnym byłoby uznanie umasowienia szkolnictwa wyższego za nieszczęście i kłopot, zarazem przyczynę obsuwającą instytucje akademickie w stronę kultury niższej, tj. masowej. Ale jeszcze większym błędem byłoby zastrzeżenie miana instytucji kultury wysokiej do kilkunastu obecnie istniejących uczelni mających uniwersytecki status prawny. Celem zasadniczym szkolnictwa wyższego w Polsce powinno być doprowadzenie do tego, że pozostając systemem kształcenia masowego, tj. dostępnego dla ok. 50 proc. populacji 19-latków byłoby ono zarazem systemem instytucji kultury wysokiej, ze wszystkimi konsekwencjami z tego wypływającymi. Osiągnięciu tego powinny służyć trzy rodzaje działań i występujących w przyszłości zjawisk społecznych:

- powszechne wprowadzenie systemu akredytacji (a tak naprawdę systemu państwowego koncesjonowania), który w ciągu kilku lat powinien doprowadzić do zamknięcia lub wyraźnego wzrostu jakości programów studiów oferowanych obecnie co najmniej przez kilkadziesiąt najgorszych uczelni państwowych i niepaństwowych;
- postępujące od 2003-4 wyraźne zmniejszenie się liczby kandydatów na uczelnie, związane zarówno z wchodzeniem w życie dorosłe coraz mniej licznych roczników niżu demograficznego (spadek liczby 19-latków z niemal 700 tys. do ok. 380 tys. za 18 lat) oraz wyczerpywaniem się tzw. rezerw, tzn. osób starszych lub nieco starszych, które nie podejmowały studiów w wieku 19 lat, z różnorodnych przyczyn (swoistego odłożonego „popytu”). Spowoduje to, moim zdaniem, wyraźne zmniejszenie liczby kandydatów na studia zaoczne, wojny cenowe między uczelniami (dumping), ale zarazem obniży liczbę kandydatów na studia stacjonarne, poniżej oferowanej już obecnie liczby miejsc;
- wprowadzenie równoprawnej konkurencji ubiegania się o środki publiczne przeznaczone na kształcenie, aby zaprzestać tego, co A. Koźmiński („Rzeczpospolita” nr 226 z 27.09.2001 r.) trafnie nazywa stanem nieuczciwej konkurencji, gdy uczelnie państwowe oferują płatne studia, a równocześnie korzystają z subwencji budżetowych pokrywających

w całości ich koszty stałe.

To rozwiązanie wymusi nie tylko potrzeba racjonalnego i efektywnego wykorzystania ograniczonych w ubogim państwie środków publicznych, ale i elementarne poczucie sprawiedliwości. Dodatkowym elementem podnoszenia jakości w szkolnictwie wyższym (które, niestety, obawiam się, spotkałyby się z powszechną, wrogą reakcją) byłby ustawowy zakaz różnicowania programów studiów stacjonarnych i zaocznych poprzez wprowadzenie precyzyjnie zdefiniowanego systemu punktów kredytowych (transferowych) i określenie, jaka liczba punktów jest niezbędna do otrzymania tytułu licencjata czy magistra.

KLUCZ DO SUKCESU

Zachodzące na naszych oczach przemiany każą przemyśleć zasadniczą misję szkoły wyższej, w tym klasycznego uniwersytetu.

W przeszłości, w ostatnich stuleciach, rdzeniem uniwersytetu byli pracujący w nim mistrzowie – profesorowie uprawiający naukę, wokół nich kręciło się wszystko, to oni decydowali o pozycji i prestiżu uczelni, a głównym produktem uniwersytetu był dorobek naukowy jego uczonych. Proces kształcenia studentów towarzyszył badaniom, a jednym z najważniejszych zadań było wyselekcjonowanie najzdolniejszych studentów pozostających po studiach w uczelni i wzmacniających własny zespół badawczy.

Jestem głęboko przekonany, że nadchodzące czasy wymuszą wyraźną zmianę misji, a głównym „owocem” działalności uczelni staną się jej absolwenci, zdolni do sprostania wyzwaniom przyszłości. To oznacza, że uczelnia będzie musiała podążać za potrzebami jej studentów, szybko reagować na zmiany dokonujące się na zewnątrz, nie tylko w najbliższym otoczeniu. Badania naukowe, szczególnie w dziedzinach uznawanych za interesujące dla nowej gospodarki, będą prowadzone głównie w zapleczach badawczych wielkich ponadnarodowych korporacji bądź też przez wieloosobowe zespoły dobierane specjalnie do rozwiązania konkretnego tematu badawczego, i to raczej obok, a nie bezpośrednio w uniwersytecie. Przykład Doliny Krzemowej jest wystarczająco przekonujący. Dodatkowym impulsem przyspieszającym proces przemian w świecie akademickim jest powstawanie uniwersytetów korporacyjnych i uniwersytetów tworzonych na nowych zasadach for profit, których jedynym zadaniem jest profesjonalne kształcenie. Proces zarządzania wiedzą znajdującą się w uczelni staje się kluczowy do uzyskania sukcesu na zmieniającym się rynku edukacyjnym.

LUDZIE NIEGOTOWI

Jest jeszcze jeden istotny czynnik zmian, na który moim zdaniem, organizatorzy i reformatorzy systemów edukacyjnych rzadko zwracają uwagę – zachodząca na naszych oczach zmiana relacji wykładowca – student. Dość długo relacje te były (nie licząc wyjątków – genialnych studentów) jednostronne – mistrz (profesor, wykładowca, asystent) przekazywał wiedzę, nauczał. Teraz coraz częściej dochodzi do interakcji, współdziałania – student zadając pytania i stawiając problemy zmusza wykładowcę do przetwarzania wiedzy i przedstawiania nowych rozwiązań. Jest to szczególnie widoczne w najszybciej rozwijających się dziedzinach, np. informatyce, gdzie proces zmian jest tak szybki, że coraz częściej poziom umiejętności uczącego i nauczanego jest niemal taki sam, a młodszy umysł szybciej przyjmuje i przetwarza nowe rozwiązania. Przyszła uczelnia będzie musiała uzyskać rezultaty niemal niemożliwe do równoczesnego uzyskania – z jednej strony, zapewnić skuteczne kształcenie w skali masowej, z drugiej, poprzez aktywne partnerstwo wykładowca –

indywidualny student, zapewnić synergię kapitału intelektualnego u obu podmiotów partnerstwa.

Według Anieli Dydus (Komerccjalizacja nauki. Implikacje etyczne), największe szanse rynkowego sukcesu mają dziś „ludzie niegotowi”, przygotowani do dalszego rozwoju, do kształcenia się przez całe życie. Warto dodać do tego stwierdzenie P. Druckera, że najszybciej rozwijającym się rynkiem szkoleniowym w USA są obecnie kursy, szkolenia dla 40-latków (Drucker nazywa je kursami odświeżającymi – w domyśle: wiedzę i umiejętności). To wszystko wskazuje naturalny kierunek rozwoju polskiego szkolnictwa wyższego w przyszłości. Czy wszyscy zauważą konieczność zmian i je zaakceptują? Na pewno nie. Zapewne przetrwają w Polsce uczelnie, a może także uniwersytety, które za najważniejsze zadanie uznają przekazanie przyszłym pokoleniom idei i wartości tradycyjnego, humboldtowskiego uniwersytetu. Zapewne znajdą się też kandydaci, którzy wybiorą takie uczelnie, jako najbardziej odpowiednie dla siebie. Czy będzie ich wielu? śmiem wątpić, gdyż rzeczywistość rynkowa, ale i rodzinna zmusi ich do szukania uczelni, które pozwolą im w przyszłości funkcjonować w szybko zmieniającym się świecie.

Patrząc na zmiany dokonujące się w amerykańskim szkolnictwie wyższym (nie uznając go za wzór, ale za rzeczywistość istniejącą w najbardziej rozwiniętym państwie świata), widzimy kierunki zmian, które dokonają się także w Polsce. Jedną z cech charakterystycznych jest przesunięcie poziomu kształcenia o jeden poziom w górę – najbardziej znane, prestiżowe uczelnie amerykańskie rezygnują całkowicie (lub ograniczają liczbę przyjmowanych osób) ze studiów I stopnia (tzw. undergraduate), koncentrując się na oferowaniu studiów odpowiadających w Polsce uzupełniającym studiom magisterskim i doktoranckim. To na tym poziomie studiów możliwe jest obecnie utrzymanie osobistego kontaktu mistrz – uczeń i uczestnictwo studenta w prowadzonych w uczelniach badaniach naukowych. To doktoranci są istotą funkcjonowania Harvardu.

WARTOŚĆ DODATKOWA

Zgadzam się w pełni z tezą, że jednym z istotnych celów działania uniwersytetu finansowanego przez państwo jest współtworzenie oraz ochrona kultury i tożsamości narodowej, budowanie kanonu wiedzy uniwersyteckiej. Jednym zdaniem, utrzymywanie przez państwo (w jego najlepszym i długotrwałym interesie) zespołów akademickich w dziedzinach całkowicie nierynkowych jest potrzebne i konieczne, tak jak niezbędne jest finansowanie pewnej liczby uczelni artystycznych czy wojskowych. Mam natomiast zasadnicze wątpliwości, czy ubogie państwo powinno utrzymywać z budżetu setki zespołów badawczych i finansować studia w takich wyspecjalizowanych obszarach techniki i technologii (by posłużyć się moim ulubionym przykładem metalurgii metali kolorowych), których rozwojem powinien być zainteresowany sektor prywatnej gospodarki.

Wielu z nas, założycieli i twórców uczelni niepaństwowych, chcąc dla swoich szkół znaleźć stabilne miejsce, próbuje rozpoznać nie tylko czasy nadchodzące, ale stara się dogłębnie zrozumieć przyczyny sukcesów odnoszonych przez najlepszych. Dlaczego w USA, wśród stu kilkudziesięciu najlepszych rozpoznawanych na całym świecie uniwersytetów, tylko dwadzieścia kilka należy do ligi bluszczowej (Ivy League)? Dlaczego po szkole biznesu Columbia University pierwsza płaca wynosi 138 tys. USD, po Stanford lub Harvard University – 85-86 tys. USD rocznie, a po tak znakomitych uczelniach, jak Dugesne University, tylko 45 tys. USD, a DePaul University czy Loyda University w Chicago – 53-57 tys. USD? Podobne rozróżnienie jest także po studiach prawniczych czy medycznych. Można

przewidywać, że taki proces zróżnicowania nastąpi także w Polsce. Analizując programy nauczania tych uczelni można stwierdzić, że są one podobne, równie znakomite są zespoły nauczycieli akademickich we wszystkich tych uniwersytetach. Jaka „wartość dodatkowa” edukacji w najlepszych uniwersytetach przekłada się na dwu- lub trzykrotnie wyższą płacę ich absolwentów w porównaniu z innymi tuż po zakończeniu studiów. Czy tylko sława i moda? Coraz powszechniejsze staje się przekonanie, że obok niezbędnej wiedzy i wyposażenia intelektualnego niezbędne jest kształcenie u studentów umiejętności rozwiązywania problemów, postaw przedsiębiorczych, innowacyjnych i kreatywnych oraz niezbędnych do udanego życia nie tylko zawodowego, odpowiednich motywacji i myślenia pozytywnego, optymizmu, odwagi, wiary we własne możliwości. A. Dylus w cytowanym już artykule podkreśla, że wszystkie te cechy muszą się opierać na trwałym fundamencie pewnego kanonu wartości podstawowych, wśród których najważniejszą jest mądrość. Taki zestaw umiejętności, postaw i wartości jest możliwy do ukształtowania czy wzmocnienia tylko wtedy, gdy uczelnia jest nakierowana w stronę studenta, w której kształcenie studenta ma najwyższy priorytet.

Czy kształcenie ludzi mądrych może odbywać się w państwowych uniwersytetach, które odrzucają dyktaturę rynku i traktowanie studenta także jako klienta (choć my staramy się ich traktować jako partnerów)? Czy konieczne jest rozróżnienie pomiędzy sprawnością działania, w tym kształcenia, efektywnością finansową uniwersytetu a wyposażeniem jego absolwenta w takie cechy, jak: wiedza, mądrość i umiłowanie prawdy? Jediną rozsądną odpowiedzią jest, że przeciwstawienie sobie tych cech jest bezsensowne i w długim dystansie czasowym zwyciężą te uczelnie, które potrafią połączyć te cechy, a może doprowadzą do ich synergii.

Zakładając, że Polska chce osiągnąć zdolność do konkurowania na rynku globalnym, władze państwowe muszą uznać, że tylko trwała inwestycja w edukację młodego pokolenia Polaków może pozwolić na osiągnięcie tego celu. Chciałbym dożyć czasów, kiedy, jak w USA, jedynym rozróżnieniem pomiędzy uczelniami będzie ich pozycja rankingowa przekładana na jakość oferty dydaktycznej, pozycję naukową kadry i umiejętność zwielokrotnienia „wartości dodanej” wykształcenia, kiedy uczelnie będą konkurowały o studentów, nie tylko z Polski, a w ślad za studentem polskim przyjdzie do wybranej przez niego uczelni bon edukacyjny. To stworzy warunki rozwoju najlepszych uczelni, w tym wielkich uniwersytetów. Ile takich uczelni pozostanie? Zakładając, że docelowa liczba studentów w Polsce wyniesie ok. 1 mln osób, można założyć, że działać będzie 20-25 wielkich uczelni uniwersyteckich, z których każda kształcić będzie po ok. 20 tys. studentów. Pozostanie jeszcze obszar do działania dla ok. 100 wyspecjalizowanych uczelni mniejszych. część z nich będzie małymi uczelniami niszowymi, część szkołami elitarnymi.

Dr Krzysztof Pawłowski jest rektorem Wyższej Szkoły Biznesu – National-Louis University w Nowym Sączu, w latach 1997-2000 pełnił funkcję przewodniczącego Konferencji Rektorów Uczelni Niepaństwowych.